

Wojciech Chmielewski: Wrony. O Marku Nowakowskim

W przypadku Marka Nowakowskiego ważna była ciekawość drugiego człowieka. Kim jest? Jaki jest? Co się w nim dzieje? Jakie są jego losy? Był przeciwieństwem literata egotycznie wpatzonego w siebie i swoje wnętrze, uznającego, że tylko własne życie, jego własna historia, sprawy, przypadki powinny być kanwą opowieści – pisze Wojciech Chmielewski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Nowakowski. Rzeczywistość jest ciekawa”.

W opowiadaniu Marka Nowakowskiego *Śmierć żółwia* autor przedstawił nieco inny świat niż ten znany z jego klasycznych opowiadań. W większości z nich mamy przecież bohaterów prowadzących życie na marginesie, odrzuconych, dotkniętych nieszczęściem lub nie godzących się na szare bytowanie w peerelowskiej rzeczywistości, a także przez nią zdeprawowanych. Takich jak paser Kiciucha, Kwadratowy, Trzyczwartak, Księżę Nocy, magazynier Czesiek, prokurator Anioł czy choćby snujący się po Dworcu Głównym w Warszawie bezimienny starzec „o pergaminowej żółtawej twarzy, z oczyma schowanymi w ciężkich, sinych powiekach. Okrywał się czarną peleryną, spod wygniecionego kapelusza o szerokim rondzie opadały mu na plecy rzadkie pasma siwych włosów”. Jeden z dziesiątków typów i typków opisanych przez Marka Nowakowskiego.

W *Śmierci żółwia* jest inaczej. Wiwisekcji poddana została zwyczajna rodzina, korzystająca z dobrodziejstw „naszej małej stabilizacji” czasów Gomułki. Ojciec pracuje w biurze projektowym, to wzięty architekt, zarabia dobrze, jest matka i nastoletni syn. Rodzina więc, jak na warunki PRL-u, dobrze sytuowana, w garażu stoi samochód. I nagle ten bezpieczny światek zostaje wywrócony na nice. Sytuacja psychiczna głównego bohatera – ojca rodziny – zostaje poddana próbie. Przypadkowe wydarzenie, wypadnięcie żółwia z balkonu na podwórze, rozpoczyna sekwencje zdarzeń, które przekonują, że stabilizacja to tylko złudzenie, a w życiu trzeba stawić czoła zupełnie nowym, a do tego absurdalnym sytuacjom. Ich symbolem pani Kama, szpicel, działaczka Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, wzorowana pewnie na aktywistkach ZMP, które pisarz dobrze pamiętał. Do niej wpłynął donos na mężczyznę. Pani Kama burzy porządek życia skromnego architekta, skłania do działań wbrew ustalonym od dawna regułom i koleinom, a nawet zdrowemu rozsądkowi. Rozchwianie psychiczne milkiwego i poukładanego bohatera sprawia z kolei, że na wierzch wychodzi przeszłość, „wewnętrzne bebechy”, pojawiają się obrazy z dzieciństwa, a zwłaszcza jeden, za to niezwykle silny – wizja wronich piskląt wypadających z gniazd i miażdżonych przez osiłków z miasteczka, z którego pochodził bohater.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

„W małym miasteczku, gdzie się wychował, wiosną wrony w parku likwidowali. Parkowe drzewa gęsto oblepione gniazdami. Chodzili z długimi kijami, strącali nimi gniazda. Rozpaczliwe krakanie. Wokoło

unosila się chmara wron-matek. Gniazda spadały na ziemię, a w nich pisklęta szare z żółtymi dziobami. Czasem jeszcze jajko, a ze skorupy mokry łupek wystawał. Miasteczkowe łobuziaki deptały ptasie jajka gołymi piętami”.

Czy to jest jeszcze normalne, czy mamy już do czynienia z zaburzeniem?

Marek Nowakowski stawia także pytanie o to, czy naszym życiem rządzi prawidłowość czy przypadek.

W Śmierci żółwia
Marek Nowakowski stawia także pytanie o to, czy naszym życiem rządzi prawidłowość czy przypadek. W

kolejną, zbliżającą się rocznicę urodzin pisarza może warto zastanowić się, czy jego życie było wynikiem splotu przypadków czy raczej świadomie podejmowanych, racjonalnych decyzji. A może jednego i drugiego? W autobiografii *Pióro* Nowakowski wspominał, że początki jego pisania to nagła erupcja, wewnętrzna potrzeba, nawet eksplozja. Wspomnienie pierwszych chwil spędzonych w latach 50. ubiegłego wieku nad kartką papieru, przy domowym stole, razem z matką i ojcem, nauczycielami poprawiającymi klasówki w uczniowskich zeszytach, stało się zresztą sensem rozumienia pisania, któremu Nowakowski pozostał konsekwentnie wierny przez całe życie.

W 1991 roku w rozmowie z fotografem Czesławem Czaplińskim przyznawał:

Zaczyna się od przygód, dziwnych wydarzeń, później chce się to opisać. Tak się u mnie zaczęło. Impuls bezwarunkowy: napisać! Bez myślenia, co dalej. Pisanie to musi być osobista sprawa, nieważne dla kogo się pisze. Trzeba zaczynać od potrzeby i dalej pisać z potrzeby. Nieważne, że czytelnik, wydawca, pieniądze, bo wtedy to nie jest pisanie, tylko handel, komercja, pisanie pod publikę. Teraz w ogóle komercjalizm ogarnął świat. Polacy szczególnie w tym zapóźnieni, więc nadrabiają. Jeden udziela efekciarskich wywiadów niby jakiś wieszcz, co najmniej Tomasz Mann, drugi kombinuje tak, trzeci inaczej, czwarty czytelnika zbulwersować pragnie jakiś seksem, szokiem politycznym czy innym, to nie literatura, to jest kram z towarami. Normalne, ale to nie jest wzorzec dla mnie i nie będzie nigdy. Pierwsza rzecz to dla siebie, potem mieć czytelników. Jeśli myślę, jak tu mieć czytelników, to nie jestem pisarz tylko gówniarz pisarski. Pisarz to jest zresztą słowo, które siedzi obok dużych dwuznaczności: bo jest pisarz, pisuar i piskorz.

Żadne ze zdań wypowiedzianych przez Marka Nowakowskiego 30 lat temu nie straciło na aktualności, a sytuacja na rynku czytelnicznym pozostaje niezmienna od czasów barwnych początków budowy naszego kapitalizmu, którym zresztą pisarz poświęcił groteskową opowieść zatytułowaną *Strzały w Motelu „George”*.

A zatem przygoda, przypadek, potrzeba? Co sprawia, że przyszły autor chwyta za pióro i zapełnia kolejne strony, a potem pisanie zapełnia jego życie, staje się najważniejszą sprawą, swego rodzaju grą prowadzoną na własnych zasadach ze światem?

W przypadku Marka Nowakowskiego ważne było coś jeszcze. Ciekawość drugiego człowieka. Kim jest? Jaki jest? Co się w nim dzieje? Jakie są jego losy? Był przeciwieństwem literata egotycznie wpatzonego w siebie i swoje wnętrze, uznającego, że tylko własne życie, jego własna historia, sprawy, przypadki powinny być kanwą opowieści.

Przypatrywał się ludziom od małego, a w podwarszawskich Włochach, gdzie dorastał podczas wojny i zaraz po niej, było ich całe spektrum: robotnicy, okoliczni chłopi, przemytnicy, węglarze, złodzieje, przekupki i kobiety upadłe, akowcy, żołnierze sowieccy, ubecy, przesiedleńcy z Warszawy, wreszcie powracający po 1956 roku z Sybiru zesłańcy. I ci, którzy nie złożyli broni, czekając na nowy światowy konflikt, na generała Andersa.

A kiedy Marek Nowakowski został nastolatkiem – ruszył kolejką EKD do zrujnowanej Warszawy. Tu odkrywał nowy świat, innych ludzi i miejsca, które potem opisywał w kolejnych tomach opowiadań. Czy to przypadek, że zaniósł swoje opowiadanie do redakcji „Nowej Kultury”, że debiutował w 1957 roku na łamach tego pisma? Zastanawiam się, co stałoby się z tym młodzieńcem, gdyby redakcje po kolei odrzucały mu skrzętnie przepisywany po znajomości na maszynie manuskrypt? Nie wiadomo. Może zostałby w rodzinnych Włochach, spędzał czas nad gliniankami, łowił ryby, opalał się, pił wódkę i słuchał krakania wron w gniazdach oblepiających włochowskie drzewa? A może skończyłby prawo i – jak marzył jego ojciec – zostałby wziętym warszawskim adwokatem?

„Z rozbitych skorup wynurzają się żółte dzióbki piskląt, gołe szyjki i mokry, rzadki puch. Dzióbki otwierają się szeroko, ślepe oczy powleczone błoną... coraz więcej skorup z gramolącymi się niezdarnie

pisklętami... A nad nimi unosi się stopa, wielka i płaska stopa. Sękatę paluchy, czarna, poryta pięta. Stopa olbrzymieje... Z sekundy na sekundę. Opadnie zaraz i zmiążdży to wszystko...” – to jeszcze jedna podszyta szaleństwem projekcja bohatera *Śmierci żółwia*.

*Pisanie o tym to próba
przeciwstawienia się
bezsensownemu złu.*

Przypadek, choroba,
niepokój i
szaleństwo są bardzo
silnie obecne w
twórczości Marka
Nowakowskiego, są

świadectwem śledzenia przez pisarza potworności życia, bacznego przypatrywania się jego tandecie, nieprzewidywalności, rozpadowi. Pisanie o tym jako próba przeciwstawienia się bezsensownemu złu. Bo przecież kiedy poznajemy Kazka Wariatka i jego szaleństwa, podczas których z całej siły uderza głową w drzewo, to jesteśmy przy nim, chcemy go powstrzymać, a przynajmniej jakoś złagodzić jego straszliwe cierpienia. Kiedy indziej czytamy o chorym na sarkomę chłopcu, o jego szamotaninie z życiem, chorobą, z całym światem, o cierpieniach jego rodziców. Już podczas lektury zyskujemy pewność, że pisarz wzbudza w nas niepokój i przerażenie wcale nie dla rozrywki, zgrywy lub szyderstwa, jak ma to miejsce w książkach „gówniarzy pisarskich”, o których wspominał w przytoczonym fragmencie rozmowy z 1991 roku, ale czyni tak z zupełnie innej przyczyny.

Kiedy poznałem Marka Nowakowskiego, naturalną kolejną rzeczą rozmawialiśmy o lekturach i pisarzach, dawnych i dawniejszych. Wprowadził mnie w świat swoich lektur, w krąg autorów bardzo mu bliskich, takich, z których książkami właściwie się nie rozstawał. Iwan Bunin, Józef Mackiewicz, Izaak Babel, Mikołaj Gogol, Izaak Bashevis

Singer, Jerzy Stempowski, William Faulkner. To był szczyt, z którego rozchodziły się liczne, rozgałęziające i krzyżujące się ścieżki. Nowakowski na pewno nie był miłośnikiem prozy Stefana Żeromskiego, miał przecież zupełnie inny sposób obrazowania, posługiwał się językiem zwięzłym, konkretnym, nie zapętlał się w młodopolskich przerośnięciach, nie porywał się na sprawy natury ogólnonarodowej, mającej przynieść „powszechną szczęśliwość”. Nie mówił i nie pisał nigdy wprost o powinnościach literatury i pisarza wobec narodu, zresztą tworzył w czasach, kiedy ta rola była zarezerwowana dla literatów partyjnych, w stanie wojennym noszących mundury Ludowego Wojska Polskiego.

Po 1989 roku, kiedy pisarz poparł potrzebę lustracji i dekomunizacji, już nie dane było mu o tym mówić. Nowakowskiemu i podobnym mu (Zbigniewowi Herbertowi, Kazimierzowi Orłowskiemu, Januszowi Krasińskiemu i innym) po prostu odebrano głos, zostawiając wyłącznie ścieżkę twórczości artystycznej. Podążał nią do samego końca, ale i ją starano się marginalizować poprzez przemilczanie kolejnych tomów opowiadań w wysokonakładowych mediach, zawiadywanych zresztą przez dawnych kolegów pisarza z opozycji, teraz szczerzących zęby do byłych towarzyszy z PZPR. Ci bowiem – wedle tej szatańskiej logiki – lepiej zrozumieli ducha czasów i potrzebę budowania „wspólnej Polski”. Stare dzieje, ale chyba warto do nich wracać, choćby po to, by młodszy czytelnik miał świadomość sporu, który wtedy się toczył, i który *mutatis mutandis* ma przełożenie także na dzisiejsze czasy.

A skąd Żeromski? Przez wrony. W *Zapomnieniu* tak o nich pisał:

„Wysoko przelatowały z krzykiem z drzewa na drzewo wrony, a czasami krzyk ich stawał się natarczywym jak wołanie o pomoc. Wpatrzyłem się dobrze i dostrzegłem przyczynę ich niepokoju.

Na jednej z najwyższych sosen siedział chłopak i długą tyczką spychał z gniazd młode pisklęta wron, nie umiejące jeszcze fruwać. Podniosłem się i dostrzegłem chłopaka, co siedział na ziemi i wyrzucone łapał. Co chwila czarne, obrzydliwe pisklę spada na ziemię jak kamień. Jedne zdychają od razu, inne podnoszą jeszcze ogromne łby na nieopierzonej szyi i maszerują po trawie wielce zabawnie. Wtedy mały myśliwy dogania zbiegów, wołając:

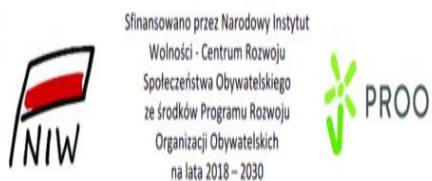
– A kej ty idziesz, fajtasiu, kej?...

Ujmuje go za skrzydło i uderza łbem o pień lub i bez tego obrzyna mu nogi, które główny leśniczy kupuje po trzy grosze parę.

Matka-wrona miota się jak obłąkana, siada niemal na ramionach młodego śmiałka, czepia się dziobem jego kija, uczepi się gałązki tuż nad nim i bije głową jak młotem w pień, odgryza małe gałązki i kracze zachrypłym, wysilonym, przebrzydłym głodem rozpaczy. Gdy chłopak wyrzuci pisklę, rzuca się na ziemię z wlokącymi się skrzydłami, otwiera dziób, chce krakać – głosu nie ma – bije więc skrzydłami i skacze jak oszalała, śmieszna, do nóg chłopaka, jakby pierwsza ze swego rodu zrozumiała potrzebę samobójstwa. Gdy zabiją wszystkie jej dzieci, wylatuje na drzewo, odwiedza puste gniazdo i kręcąc się nad nim wokoło myśli nad czymś...”.

*Wojciech Chmielewski (ur. 1969), prozaik. Laureat Nagrody Literackiej im. Marka Nowakowskiego (2017). Ostatnio wydał tom opowiadań *Magiczne światło miasta* (Kraków 2019).*

Fot. Justyna Aniołek



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego